



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: WŁOSY JAKO SZTANDAR

Gdy w 1969 r. przyjechałem po raz pierwszy do Londynu, objawił mi się on nie jako miasto gentlemanów w czarnych melonikach, lecz jako jedno z głównych światowych skupisk młodzieży kontestującej. Hippisi przenikali do samego serca Londynu; dźwięki ich gitar i zawodzenie fujarek rozbrzmiewały mocnym akcentem w samochodowo-neonowym zgiełku Piccadilly Circus, płyty z piosenkami Boba Dylana, Joan Baez, nagraniami amerykańskiego zespołu „The Grateful Dead („Wdzięczny Nieboszczyk”) sprzedawano w setkach tysięcy egzemplarzy. W centrum West Endu, w Shaftesbury Theatre, szedł przebój sezonu: amerykański musical Gerome Ragni, Jamesa Rado i Galta MacDermota - „Hair”; fascynujący i skandalizujący.

„Hair” zyskał już kolosalne powodzenie dwa lata wcześniej na Broadwayu, teraz właśnie podbijał Zachodnią Europę. „Hair” znaczy po polsku „włosy”. To przecież właśnie z włosów utkali wówczas sobie sztandar kontestacji młodzi obywatele Stanów Zjednoczonych: długie włosy puszczone luźno na ramiona, noszone zarówno przez dziewczęta jak i przez chłopców, były symbolem walki z establishmentem, z „brudną wojną” w Wietnamie, z podziałami rasowymi i społecznymi. Długie włosy symbolizowały nową obyczajowość, nowy styl życia oraz nową... modę. Filozofia łagodności, przeciwstawianie się przemocy i gwałtowi, fascynacja muzyką, ucieczka od współczesnej technicznej cywilizacji na łono natury, ale także w świat... narkotycznych wizji, oto co charakteryzowało ten spontaniczny ruch młodzieży w wielu krajach świata.

Musical „Hair” mówił właśnie o tym wszystkim. Przeciwwstawiał pasywną postawę młodego amerykańskiego chłopaka (który dał się zmącić „patriotycznym” ideałom i stawiając się przed komisją poborową, ginął ostatecznie na polach Wietnamu), postawie „aktywnej” jego rówieśnika-hippisa, który wybrał kontestację, a co za tym idzie - życie. To był problem naczelny musicalu. Fascynowały przecież „Włosy” w równym stopniu kapitalną muzyką, faktem pokazania na scenie, po raz pierwszy, młodzieżowej amerykańskiej subkultury, szokowały wreszcie... nagością.

W dwanaście lat po teatralnej pra-premierze „Hair” w niewielkim nowojorskim Public Theatre, przeniósł go na ekran twórca „Miłości blondynki” i „Lotu nad kukułczym gniazdem” - Milos Forman.

Trzeba było Furmanowi szereg lat przeżyć w Stanach Zjednoczonych, zrobić kilka filmów o tamtejszej społeczności, dobrze zrozumieć kraj, jego kulturę i ludzi w nim mieszkających, aby móc dokonać tego, co teraz: nakręcić bardzo amerykański „Hair”, ale wzbogacony o spojrzenie Europejczyka; intelektualnie i filozoficznie pogłębiony, z jego problemami rozpatrywanymi przez reżysera z pewnego dystansu czasowego i politycznego.

Forman przepracował dość radykalnie pierwotny scenariusz, kładąc jeszcze większy akcent na sprawy wojny, podkreślając, że jednostka działająca w próżni politycznej bardzo niewielki ma wpływ na wydarzenia na świecie, zredukował do minimum wątek „narkotykowy” i prawie wyeliminował nagość. Zachwyca w „Hair” (przeniesionym w Formanowskim ujęciu całkowicie w plener, głównie nowojorski) nie tylko maestria aktorów, piosenkarzy i tancerzy, nie tylko muzyka, scenografia, świetne zdjęcia Mirosława Ondriceka i kapitalny, dynamiczny montaż, ale także fakt, że film Formana znalazł sobie miejsce w dzisiejszych czasach. Bo choć ruch hippisów dawno się skończył, nie ma już wojny w Wietnamie a i młodzież dzisiejsza jest zupełnie inna, „Hair” jawi się niespodzianie jako film... historyczny. Tak. Pierwszy musical, który oddaje w sposób tak sugestywny i tak prawdziwy, nastroje, niepokoje, obyczajowość, problemy oraz koloryt jeszcze niedawnej, ale już jednak minionej epoki. Zresztą pójdźcie sami, popatrzcie, posłuchajcie i przekonajcie się!

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr 18, s. 11.